ROCZNIK III. Dnia 6. stycznia 1912. ZESZYT I.



ŻYCIE

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI

RES.

POCHÓD NACYONALIZMU ROSYJSKIEGO.

„Und neues Leben blüht aus den Ruinen“... Na zgliszczach i rumowiskach Rewolucyi rosyjskiej zakwitło niewątpliwie nowe życie. Oczywiście nie takie, o jakiem marzono w chwilach, kiedy zdawało się, że carat stoi już na brzegu przepaści, kiedy sny gorączkowe o republice, o „ziemi i wolności“, o konstytuancie i t. d. i t. d. wydawały się jawą ziszczalną i bliską. Sny te rozwiała nielitościwie jawa szubienic, ekspedycyi karnych, katorgi, tryumfującego czarnosecińs twa. Ale nietylko takie sny światobórcze, pierzchły, jak mara; nawet powściągliwe rojenia kadeckie o przyzwoitej „konstytucyi demokratycznej“, o nowem życiu, kwitnącem „wolnością ludu“ — okazały się złudą naiwną. A jednak — w Rosyi zaszła istotna zmiana, z której należy sobie zdać sprawę, aby zrozumieć należycie różne zjawiska w jej życiu politycznem. Wyrazem tej zmiany jest Duma — i to właśnie Duma czarnosecinna, Duma nacyonalistyczna, Duma Eulogiuszów, Puryszkiewiczów i Bobrinskich.

Zapytajcie się dziś najzażartszego monarchisty rosyjskiego, czy chciałby powrotu „dawnych dobrych“, bezdumskich czasów. Zapytajcie się Mienszikowów, czy innych heroldów rosyjskiego „Nowego Czasu“, zali by pragnęli istotnie samowładnego cara bez Dumy, albo z Dumą tylko doradczą, według recepty dawnych słowianofilów. Niewątpliwie odpowiedzieliby: nie! Jakoż dziś wszelka kanalia czarnosecinna i październikowa chętnie przyswoi sobie hasło kadetów i umiarkowanych socyalistów z okresu drugiej Dumy: „Bieregitie Dumu“ (strzeżcie Dumy, baczcie, by Duma nie upadła). I to właśnie świadczy, że „konstytucya“ rosyjska utrwaliła się, że jest w pewnych rękach, które o istnienie jej dbają i upaść jej nie dadzą. Poprzednie Dumy były rewolucyjnym eksperymentem bez rewolucyjnej siły, bez możności ostania się w normalnych warunkach państwa rosyjskiego, kiedy siły społeczne ze stanu podniecenia gorączkowego wracają do zwykłej równowagi. I Dumy te zapadły się, nawet bez wielkiego hałasu. Ale stało się zadość okrzykowi liberalnego premiera angielskiego, Campbell-Bannermana: „La Douma est morte, vive la Douma!“ Duma żyje, ale taka właśnie, na jaką Rosyę w normalnych warunkach stać: Duma czarnosecinna, Duma pogromów żydowskich, gwałcenia konstytucyi finlandzkiej, oderwania Chełmszczyzny. Taka Duma spełnia właśnie naukowy ideał „ewolucyi“, drogi sercu naszych myślicieli warszawskich z Nowych i starych Gazet

oraz Prawd: niema tu żadnego skoku ani przewrotu, wszystko wywija się, jak z kłębka, styl budowy państwowej moskiewskiej w pełni zostaje zachowany, tworzy się tylko — w tym samym zresztą stylu — przybudówkę „dumską" dla żywiołów społeczeństwa rosyjskiego, pokumanych i spokrewnionych z biurokracyą, a pragnących wraz z nią pracować dla „wielkiej Rosyi", przy korytku państwowem.

Polityczna siła tych żywiołów, ich współudział we władzy jest rzeczą nową, jest „zdobyczą" Rewolucyi. Znamiennym rysem historyi rosyjskiej jest niesłychana, w tym stopniu w Europie nigdy i nigdzie nienapotykana, przewaga państwa nad społeczeństwem. Nie będziemy tu dociekali zawiłych przyczyn tego zjawiska, zaznaczamy tylko fakt. A fakt ten znaczył między innemi to, że żadna warstwa społeczeństwa rosyjskiego nie stanowiła jakiejś samodzielnej politycznej siły, że car, kliki dworskie, wierzchołki biurokratyczne samowładnie stanowiły o wszystkiem. Całe społeczeństwo miało charakter niewolniczy; klasy posiadające były to warstwy społecznie uprzywilejowane, ale politycznie z praw i wpływu wyzute, rządowi niewolniczo poddane. Społeczeństwo rosyjskie było naogół „ślepym mieczem" w rękach caratu: jedne warstwy służyły mu wzamian za korzyści i udział w łupach, inne — masa chłopska — bezmyślnie i bez korzyści, ale wiernie.

Po Rewolucyi, gdy spłynęły burzliwe fale, które zdawało się, zagładą grożą carskiej Rosyi, ujawnił się trwały dobytek życia rosyjskiego: Rosya pozostała w dawnych granicach, w dawnym kształcie państwa-rekina, potwornie utuczonego kilkuwiekową grabieżą, państwa, dla którego jedności i całości rzetelna wolność i rzetelna demokracya byłyby „początkiem końca"; ostał się tedy carat w niepożytej sile, ale carat musiał się w pewnym stopniu przystosować do potrzeb społeczeństwa rosyjskiego, musiał dopuścić do udziału we władzy pewne żywioły społeczne, oczywiście reakcyjne, ale właśnie dlatego do stylu „państwowości" rosyjskiej najlepiej dopasowane, gwarantujące caratowi nietykalność jego podwalin, a sobie zapewniające ogromne z sojuszu tego korzyści.

Obecnie nie można już mówić (jak dawniej mawiano w rewolucyjnych kołach rosyjskich), że carat na nikim w społeczeństwie nie opiera się. I dawniej było to tylko pozorem, złudzeniem, wywołanem przez to, że rząd carski żadnych żywiołów społecznych do współudziału we władzy dopuścić nie chciał. Dziś carat opiera się już na c z y n n e j pomocy szlachty, duchowieństwa, wielkiego kapitału i — lumpenproletaryatu wszelkiego gałgańskiego gatunku, dziś istnieje harmonijne współdziałanie żywiołów tych z rządem, wyrażające się w czarnosecinno-nacyonalistycznej polityce.

Nacyonalizm rosyjski jest właśnie formułą tego zjawiska, że reakcyjne żywioły społeczeństwa rosyjskiego czynny udział biorą w tradycyjnej polityce zaborczej i przeto piętno swe na niej kładą. Nacyonalizm rosyjski jest koniecznym i logicznym wyrazem „państwowości" carsko-moskiewskiej, od Dumy otrzymującej namaszczenie społeczne. Jest to, słowem „unarodowienie" państwowości rosyjskiej. Rzecz to szczególna, ale wobec charakteru państwa rosyjskiego zrozumiała, że „konstytucya" rosyjska utrwala się pod sztandarem: biada inorodcom!

I rzecz również zrozumiała, że konstytucyjna w cudzysłowie a rzetelnie dumska i nacyonalistyczna Rosya pragnie w pełni użyć swoich miodowych miesięcy. Dlatego spieszy się na gwałt, krząta na wszystkie strony, rewiduje wszelkie kąty i kryjówki, gdzie może się jeszcze kryć swawola inorodców, nie stłumiona przez „Rosyę dla Rosyan", odgraża się wszystkim wewnętrznym i zewnętrznym wrogom Rosyi, sięga po coraz nowe zdobycze. O polityce zaborczej i wynaradawiającej rozstrzyga już nietylko interes absolutyzmu, rozstrzyga nietylko interes biurokracyi, ale w coraz większym stopniu rozstrzyga interes żywiołów, panujących w Dumie. Jak nasrożyła się szczecina nacyonalistyczna, gdy przez chwilę panowała wątpliwość, czy Kokowcew nie zechce zmienić polityki poprzednika swego, ochrannie zmarłego Stołypina! — Aż Kokowcew musiał im tłumaczyć, że rząd obrósł taką samą, zupełnie taką samą szczeciną — i że to jest naturalnym „systemem", niezależnym od woli jednostki.

Tem się tłomaczy, że „konstytucyjna" Rosya waży się na takie czyny gwałtu rusyfikatorskiego i ludożerstwa nacyonalistycznego, przed jakiemi cofała się Rosya w rozkwicie absolutyzmu. Kiedy np. chodziło o Chełmszczyznę, to dawniej przeważały szalę na niekorzyść wyodrębnienia względy takie, jak niedogodność administracyjna wyodrębnienia, motywy strategiczne, lub poprostu — obawa generał-gubernatorów warszawskich o uszczuplenie władzy. Dziś to wszystko nie ma znaczenia. Dawniej Katkow mówił groźnie do liberałów: „Na bok, panowie... R z ą d i d z i e!" Dziś formułę tę należy zmienić, należy powiedzieć: „Na bok, niewolna hołoto... N a c y o n a l i s t y c z n a R o s y a i d z i e!" I Chełmszczyzna staje się jej łupem, jak łupem jej już się stała kolej warszawsko-wiedeńska. A ta Rosya nacyonalistyczna coraz zuchwalsza staje się też na zewnątrz: w Persyi, w Mongolii stara się odrobić to, co utraciła w Korei, w Mandżuryi, a równocześnie rozpuszcza po Galicyi zagony szpiegowsko-moskalofilskie, aby grunt sobie przygotować...

„Nazywacie P r i w i s l i n i e krajem polskim — wołał czarnoseciniec Markow do „dumców" polskich. Ja uważam P r i w i s l i n i e za *mój* kraj. Miałem tam kilku krewnych. A brata mego tam zabito..." W tym idyotycznym bełkocie tkwi jednak nieubłagana logika żerującego nacyonalizmu rosyjskiego. Gdzie stąpią Markow i jego krewni, tam jest ich ziemia, ich prawo, ich logika i obyczaj. Precz, inorodcy!... Nacyonalistyczna Rosya idzie...

ZYGMUNT MIŁKOWSKI.

O POWSTANIACH RZECZ KRÓTKA.

III.

„Powstania duże w sprawie polskiej mają znaczenie". Cytuję sam siebie cudzysłowowo z potrzeby, wyrazami temi bowiem zakończyłem poprzedni „o powstaniach" w „Życiu" artykuł, zapowiadając pomówienie o nich, w odniesieniu do sprawy polskiej. Pomówienie to prawie zbytecznem się stało, po ukazaniu się w „Życiu" (Nr. z 23. grudnia r. 1911) opracowania p. Władysława Studnickiego p. t.: „Sprawa Polska w dobie obecnej". Ponieważ jednak świetne to opracowanie tyczy się „doby obecnej" — nastroju dzisiejszego w stosunku politycznym Austryi do Rosyi, dwóch mocarstw, co w rozbiorach Polski ręce po łokcie umaczawszy, w chwili obecnej czyhają na łupy, ukazujące się im prawem sąsiedztwa w kraikach niepodległych (?), królestwami się tytułujących, a od Turcyi odpadłych na półwyspie Bałkańskim, przeto szczegółowa ta pana W. S. teza nie uwalnia mnie w zupełności od traktowania tezy ogólnikowej w odniesieniu do tejże „sprawy".

Teza ogólnikowa odnosi się do polityki ogólnikowej, praktykowanej w ciągu wieków minionych, od pierwocin państwowego porządkowania się człowieczeństwa. W czasach owych, dzięki Nemrodom, skupiającym pod władczością ramion swoich trzody człowiecze, miała ona z konieczności rzeczy charakter rabunkowy, utrzymujący się i udoskonalający wynalazkami, potęgującemi siłę ramion, w wiekach następnych. Wynalazki sprawiały wytwarzanie się, śród upaństwiających się gromad i gromadek ludzkich, gromad silniejszych i najsilniejszych. Te ostatnie wywierały wpływ szeroki, wzbudzały poszanowanie i posłuch dla siebie, wywoływały antagonizmy i stawały się środowiskami polityki na tak długo, póki ich wewnętrzne i zewnętrzne przyczyny rozkładowe o upadek nie przyprawiły. Los taki spotkał mocarstwa tej miary, co Persya, Rzym, Grecya ucesarstwowiona, tej następnie, co Niemcy za Karola Wielkiego, co Hiszpania za Karola V, co Francya napoleońska. Do czasów Napoleona I polityka ześrodkowywała się w mocarstwie pojedynczem, jak za czasów Cyrusów, Daryuszów perskich, była wciąż zaborczą, rabunkową, raubritterską, nie mającą nic wspólnego z etyką niezależną i od kościołów chrześcijańskich, uznających „IX i X Boże przykazanie", uzależnioną.

Bądź co bądź, jednak, nie tak ona bezczelną była, jaką się stała wobec postępu wszechstronnego bardziej umożliwiającego chełznanie nadużyć mocarstw pojedyńczych, niż spółką związanych. Ani Rosya, ani Prusy, ani Austrya w pojedynkę nie byłyby w stanie Polskę, mimo, że ją królowie Sasi rozpoili i ubezrządnili, zabrać każde dla siebie. Umożliwiła to zmowa rozbiorcza, która, r. 1815 na Kongresie wiedeńskim uprawniona, wydała ze siebie Święte Przymierze. Z tego ostatniego, gdy w niem kapryśną dzikością nacechowany autorytet moskiewski za dotkliwie spólnictwu czuć się dawał, Bismark wypośrodkował Trójprzymierze bez Moskwy. Oskrzydlanie Trójprzymierza przez porozumienia kordyalne dotychczas bawi Europę, darząc ją pokojem zbrojnym, urozmaicanym innego, aniżeli przed rozbiorami Polski, rodzaju wojnami. Wojny dawniejsze osłaniał fałszowany, naciągany nierzadko, zawsze atoli ideowy (o Ojczyznę, o religię, o cześć) charakter. Ten charakter zdjęła z wojny cyniczna na Polskę napaść, rozbiorami uwieńczona, a przez cały świat ucywilizowany za zbrodnię okrzyknięta.

Odtąd tylko walka o wolność, jaką może być i będzie wojna polska, zachowała charakter ideowy; wszelka zaś, t. zw. międzynarodowa, stała się, mówiąc po niemiecku, Geschäftem — jeżeli rozbiorczym, to spółkowym: Po rozbiorach Polski, o rozbiorach Turcyi, Chin, Persyi, o rozbiorze Austryi — pisze się, mówi i myśli, zapewne o rozbiorze Rosyi niebawem, o rozbiorze zaś Niemiec później nieco mówić i myśleć się będzie.

Rozbiory Polski stanowią bardzo ważny, bodaj czy nie najważniejszy, w dziejach kuli ziemskiej zwrot polityczny.

„Polska to wielka rzecz" — rzekł umierający wielki poeta.

Poeci w natchnieniu wieszczami bywają.

Rzeczenie to Stanisława Wyspiańskiego ma wielkie, ogromne dla nas — dla młodzieży zwłaszcza naszej, uznającej się „niepodległościową" i poczuwającej się do obowiązku służenia Ojczyźnie w niewoli, znaczenie.

Znaczenie to nakazuje nam zastanowić się nad polityką spółczesną, tak stosowaną do nas przez zaborców Polski, jakoteż praktykowaną przez nas w odniesieniu do nich.

Ci „oni" — zaborce Polski — na dwa rozpadają się rodzaje: na łaskawszych, panujących nad mniejszą rozległością kraju i mniejszą liczbą ludności Rzeczypospolitej dawnej (Austrya); na bardzo, oraz okrutnie niełaskawych, dzierżących w rękach swoich więcej niż trzy czwarte rozległości i ludności Ojczyzny naszej (Prusy i Rosya). O tem, czem ci ostatni są dla nas, rozwodzić się nie ma potrzeby, ażeby wskazać w nich zażartych wrogów naszych, nierównych w tym jeno względzie, że z nich dwóch główniejszym zasadniczo jest Rosya. Co się zaś Austryi tyczy, dzisiejsza do niej skłonność nasza na tem polega, że: za to, iż w niej o „niepodległości" — wstrętnej bądź co bądź Bilińskim, Gołuchowskim, Bobrzyńskim i wszystkim tego kalibru mężom stanu naszego — mówić wolno, pozyska w nas, gdy do wojny z Rosyą przyjdzie, żołnierzy, którym do rozwiązania najtrudniejsze zadania militarne powierzyć będzie mogła. Będą się Polacy wszelacy za nią bili, jak się w r. 1848—49 bili przeciwko niej. Odwdzięczą się jej oni za *divide et impera* inaczej, niż ona się im odwdzięczyła za Wiedeń, uratowany przez Polaków r. 1683. Dawne to wprawdzie czasy, zasługujące jednak na to, ażeby Wiedeńczycy o nich pamiętali. Przydałyby się obecnie, gdyby do wojny z Rosyą przyszło, na wywołanie równie nam, jak Austryi potrzebnego powstania w Królestwie, ogromnie utrudnionego z racyi zawodu w oczekiwaniach, jakiego, w czasie *quasi* rewolucyi rosyjskiej, lud pol-

ski doznał ze strony (smutno mi to powiedzieć) wychowańców moich.

Nie sposób sprawie polskiej większej wyrządzić krzywdy, niż oni wyrządzili, małpując Adama Potockiego: „Przy Tobie Panie stoimy i stać chcemy“ — i ciskając Polskę carowi pod stopy.

Chcąc pretensye swoje do Rosyi do autonomii ograniczyć, powinni byli domagać się jej nie dla Kongresówki samej, ale oraz dla Litwy i Rusi, których połączenie z Kongresówką solennie Polakom Aleksander I przyrzekł. Na podstawie tej opierając się, uniknęliby szubienicy, nie uzyskaliby więcej nad to, co Mikołaj II w okrawywanym przez Dumę manifeście listopadowym zaznaczył, lecz pozyskaliby dla Polski Litwinów i Rusinów, wykazując im, że Polacy, myśląc o sobie i o nich się troszczą. Czy po wykazie takim Eulogiusze, Bobrińscy i inni im podobni patryoci czarnosecinni ośmieliliby się wydzierać — i bez tego okrojonej do śmieszności Polsce — Chełmszczyznę?... Za taki zysk polityczny warto było i na szubienicę iść.

Zamiast do błędu się przyznać i o poprawie myśleć, panowie ci, stowarzyszywszy się z Pilcami, Straszewiczami, propagują w ich duchu „politykę twórczą“, pozyskują wyznawców, w rodzaju paryskiej Muzeum N. P. w Rapperswilu Delegacyi, której za wzory służą i w pozbawianiu sprawy polskiej ważnego zagranicą posterunku gorliwie pomagają. Zasługą ich jest szczepienie w społeczeństwie polskiem wykierowującego Polskę na trójnierządnicę trojlojalizmu i utrudnianie na razie powstania polskiego w Królestwie. Lud, sparzywszy się r. 1905 — wedle przysłowia — na gorącem, na zimne dziś dmucha“.

Im też szerzenie w zamożniejszych społeczeństwu klasach niewiary w dodatnią sprawy polskiej doniosłość — szerzenie, którego rezultatem są takie, jak hrabia Ignacy (jeżeli się co do imienia nie mylę) Milewski potwory przekonaniowe, wpływ większy, niż się zdaje wywierające, przypisać należy.

Na przeszkody w odniesieniu do powstania, sekundującego Austryi w pojedynku — na pojedynkową bowiem, nie zaś na przymierzami wspieraną wojnę pomiędzy Austryą a Rosyą się zanosi — sz. autor „Sprawy polskiej w dobie obecnej“ uwagi nie zwrócił.

A są i inne jeszcze przeszkody: przeszkody np. ze strony młodzieży.

Fenomenalnie „w dobie“ właśnie „obecnej“ a skutkiem właśnie sprzeniewierzenia się dumskiej Endecyi (odróżniajmy „endecyę“, co sprawę polską w Dumie moskiewskiej srodze skompromitowała od „Demokracyi Narodowej“) młodzież polska licznie się do walki orężnej o niepodległość Ojczyzny garnie. Dla starców, ósmy — dziewiąty na grzbiecie krzyżyk noszących, a w Polskę bardziej, niż w zbawienie duszy wierzących, jest to rzeczą ogromnie pocieszającą.

— „Oni — oni!... dokażą, czego my dokazać nie mogliśmy, czy nie umieli“...

Ale — ach! czy są oni przygotowani bodaj

JULIUSZ KADEN. 4)

NOC LISTOPADOWA
WYSPIAŃSKIEGO.

Tu na ulicy Pallas krwawemi stopami miłość depce i woła: Krwi!

Krew sumienia ocięża, krew wypadki podwaja, mordercę z mordowanym wiążąc, krew wierzchnią stronę bierności tymczasowej, krzywdę sprawiedliwą wyczerpie, Korę prędzej, Korę wcześniej z ziemi wywoła.

A jeśli na zrębie tego przełomu jeszcze nie — Kora się w pół drogi zatrzyma i wygna cię, Joanno, Polsko Kompromisowa, małych a szalonych chęci, doskonałe podobieństwo. Wygna cię, że w saniach, tem cynicznem „adieu Żaneto“ pożegnana, pojedziesz na północ za parodyą bezprawnych Księcia Konstantego praw. I stworzysz niezamknięty gościniec proszalnych jazd, otworzysz ohydny kulig próśb, z gabinetu do gabinetu, otworzysz parszywe rzecznictwo, już nie w myśl wygody, a w myśl choćby najlichszej wegetacyi.

Po cóż ci było wierzyć w wielką Księcia Aresa potęgę, we śnie?

Biedna niewiasta. Oczom drapieżnym — cebula łzy wyciskająca. Zapadła w sen, ukołysana grozą policzka, co leciał na nią z ręki Konstantego.

Szyderstwo losu chciało, że czuła: Ares Aresem na jedną noc, tak długo, jak długo tam na ulicy huczą podchorążowie. Ares Aresem, — na koszt powstańczej krwi.

Ironia dosięga szczytu.

Gdzie plon?

Na teatrum starego grzesznika, grzesznego króla, Stanisława Augusta, na pseudo-klasycznem teatrum nieklasycznej Sprawy plon.

Nie klasyczna i może nie tragiczna sprawa ta.

Wyświetla się tu okrutna mądrość Nike Cheronei. Tu ci, co miłość deptać się bali, co przysięgę dotrzymać chcieli, rozsądni, tu wloką się pokutnie.

Nie darmo jęczy tu miłość ojca do syna (stary Gendre). Gdy Lelewel sprawę odprawił dla Ojca — z niczem, stary Gendre bez względu na syna wytrwał na stanowisku, — stary kanalia Gendre. Lecz w sprawach wielkich rozerwalne są więzy ojców i synów. Rozrywa je ciężar cudzych łez — (Młody Gendre:

Żem nie kochał — skorom był tam żywy,
a mogłem być kochaniem szczęśliwy.
Żem był ojcze dla wielu ohydą i t. d.).

I druga tej rozprawy pośmiertnej na pseudoklasycznych kłębach ruiny teatrum, myśl olbrzymia, martwego kontraktu formuł, paktów, kające się poniechanie:

O jakożem stawał za sędzie,
tym, co sprawiedliwie walczyli?
Zali sprawiedliwość i sąd
śmiertelnym nie największy błąd?

A że to była siła na siłę, a że siła niejednolita była, a że młodziczy bohaterskiej na krzepkich barach zaciężyły drzewa spadem uwiędłych liści, a że był podstęp na podstęp, więc Pallas, tej całej sprawy oś i pęd — jest zwyciężona podstępem.

Na czem polega on, skąd wypełzł, jakim odczynnikiem siłę zatruł — tego poeta nie bada.

moralnie? — czy się zszeregowali — czy się szeregują u kadrach k o n i e c z n i e, bez czego zerwać się do powstania z dziś na jutro nie sposób?...

Tak, jeżeli tego nie uczynili, zaradzić temu?...

Czemu pozakładane i zakładające się przez młodzież niepodległościową obozu i oboziki nie myślą o porozumieniu się dla założenia obozu specyalnie powstaniowego, otoczonego czatami politycznemi i gotowego na zerwanie się z orężem w garści, z oparciem o lud, w momencie odpowiednim?...

A Ruś!?...

Już Moskwa wie, że w niej tak zw. Mazepizm nurtuje; już obliczyła ją na milionów trzydzieści w granicach swoich, na czterdzieści z górą z Polakami. na sześćdziesiąt bez mała z Finlandczykami, Kaukazczykami, Ormianami, Tatarami, Czuwaszami, Czeremisami i wszelakimi i n o z i e m c a m i innymi. Rachmistrz jakiś i n o z i e m c ó w milionów dziewięćdziesięciu się doliczył. Najgroźniejszymi śród nich dla Moskwy są przezwani przez nią Mazepińcami*) Rusini o konszachty z P a l a c z i s z k a m i podejrzewani. To w Rosyi.

W Austryi rzecz ma się inaczej. Mazepińcy przezywają się Ukraińcami, nastrojonymi — dzięki metodzie D e v i d e et i m p e r a, wyzyskiwanej przez Dragomanowych i Hrużewskich — wrogo przeciwko Polakom tak dalece, że gdyby się w wojnie austryacko-rosyjskiej, obok pułków polskich, znaleźli, z pewnością prawie nie na Moskali, lecz i na Lachów by się rzucili.

Rosya, zarówno dla Austryi, jak dla nas, przeszkoda.

Jak jej zaradzić?

Zapewne sztaby główny, korpuśne i dywizyjne wojsk austryackich, posiadających w szeregach rekrutów jedne z obwodów polskich, drugie z ruskich, wiedzą i myślą o tem.

Po za sztabami i nam winnym przysposabiać się do wojny powstańczej, jest do wiedzenia, myślenia i czynienia dużo, dużo — daleko niż Austryakom więcej.

No???...

*) Mazepa, anatemą prawosławną objęty, jest — obok Griszi Otrepiewa (samozwańca), Stenki Razina, Puhaczewa, trzydziestu narodów, co pod Napolenem I. Rosyę r. 1812 najechały — w cerkwiach rosyjskich, w wielki piątek za to, że z Polakami się porozumniewał i z Karolem XII. królem szwedzkim, przeciwko Rosyi wystąpił, uroczyśeie wyklinanym. Coroczne wyklinanie oznacza wiekuiste męki piekielne. Dla tego to Mienszykow, fejletonista N. W r e m e n i, przezwał imieniem jego stronnictwa rusińskie w Rosyi i w Galicyi, nie przyznające się, wbrew ukazom carskim do narodu moskiewskiego. Niechże Ukraińcy galicyjscy, co Moskalii od kacapów lżą, wiedzą, że do piekła pójdą!

Badać nie potrzebuje, węzła rozwiązywać nie jest obowiązany i nie widzi ku temu potrzeby. Cierpki owoc tych walk — to nie poległe moce, czy siły, wtedyby była tragedya, wtedyby węzeł rozwiązać należało, — cierpki owoc tych walk, to lwy spętane męką.

(Pallas: Kto wy?
Chór Poległych: Spętane lwy.
Pallas: Czyją wy ujęci ręką?
Chór Poległych: Męką...)

Męka — niemoc, męka, — ofiara, — lecz nie zniszczenie.

Zaprzęgła ich śmierć. Lecz śmierć nie jest ostrokołem, za którymby przemieszkiwała Tragedya. Ta cała Noc, śmiertelna, wszak wiemy, mówiła Kora, — to tylko ogniwo łańcucha. Śmierć nie jest zniszczeniem.

Tu sprawę polską postawił Wyspiański tak mężnie i ufnie, jak jej dotąd nikt nie stawiał. Tu ją wyniósł poza śmierć i życie, poza kłótnię praw, tu ją wyrzucił z szali win i przewin, a uczynił z niej — rzecz kosmiczną.

Wplótł ją w dolę nieśmiertelnych przemian ziemi. Wyciągnął ją z oplotu cierpienia, jeszcze tej nocy, — gdy z rozkrwawionych piersi cierpienie chlusta.

Zmógł Noc i światło z niej uczynił.

Tu powiedział, że żaden błąd synów, matki ich, ziemi, skazić nie jest w stanie. Ukazał, że Polska, choć zlana krwią, z czasem stać się musi czystą i niepokalaną córą przemian Kosmosu.

Może nikt dotąd z pośród apostołów polskiej ziemi tak nisko uchem do niej nie przyniknął, jej tonu może nikt tak czule niemściwie i wdzięcznie nie wysłuchał.

Pogrążeni w oparach tej wizyi jesteśmy poza dobrem i złem i poza ryglami nieszczęścia.

A mimo to, a właśnie przez to wielkiej mądrości uczy nas, z losów Nocy wiedza wywiązana, Pallas odlatująca:

Nieszczęść dopełnią sami,
Gdy krokiem pójdą wstecz.

Dla wiadomości nieśmiertelnego porządku wiadomo, — że Kora w nieśmiertelnych wieńcu wróci.

Zaiste nie wróci ona bez tego wieńca.

Śmiertelni legną. Co czynić, by nie iść krokiem wstecz?

Stwarzajcie się w sobie — nieśmiertelni.

Stwarzajcie się w sobie ponad mękę i trud — nieśmiertelni.

Gdzie nieśmiertelności?

Stoi książe w aleach ujazdowskich u jego stóp — „szit, szit liście upadłe marzą“ zaś on je kopie — i boi się Boga. Czułżeby w chwili tej, że Kora jest ponad boga carów?

Zaczęło się od tego, że liście spadły, drogę zaścieliły całą. Oto jeszcze jedna śmierć upadła z drzew polskiej jesieni. Ale śmierć sprawy nie rozwiązuje.

„Tak te drzewa na wiosnę — puszczą pędy nowe“ —

— waguje w sobie W. Książe.

Kora w nieśmiertelnych wieńcu wróci. Gdzie oni?

Poza kręgiem przyrzeczeń dotrzymań i przysięg, poza skrętami władzy, poza wszelkim pozorem zdawkowego honoru, poza krągłą doskona-

BOLESŁAW ZAHORSKI.

Z TATR.

TATRZAŃSKI LAS.

Tatrzański las, smreczany las
pnie się wciąż wzwyż, na szczyty —
tam, gdzie Gewontu nagi krzyż,
gdzie wichrów lśnią granity —

(otuliła Tatry noc głucha — — —)

*

Tam, gdzie śród gór potoków chór,
gdzie jezior ciemne oczy, —
tatrzański las, smreczany las
hen, wzwyż, na szczyty kroczy...

(stary Gewont i patrzy i słucha — — —)

*

Tam, gdzie siklawy srebrnej bieg
rozrzuca bryzgi wodne
zdradziecko wrył on w kruszec skał
korzenie bryzg tych głodne, —

(tej, nieznana korzeniom tym skrucha! —)

*

A gdy wiatr hal, lecący w dal
przyniesie pieśni — myty
zaszumi groźnie czarny las
i porwie się na szczyty

(oplątała już noc zawierucha — — —)

*

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Tatrzański las — smreczany las...
jest mocy Twej granica!,.,
Patrz, mknie wciąż wzwyż Gewontu krzyż...
Wysoka i Świnica!...

—

Tatrzański las — zbójecki las,..
co szepcesz tak w zadumie?
Czy wicher hal, lecący w dal
twych tęsknot szept zrozumie?...

—

łością wypełninych obowiązków (hr. Krasiński) — w męce i trudzie spętane lwy, a nie poległe, w męce i trudzie, więcej niż umarłe, — bo żywe.

Zakład wiecznego, życia uwozi ks. Konstanty. I patrzcie go! W Polskę wierzy, bo sam polski trud i mękę stwarza (jeszcze raz widać — sprawiedliwość krzywdy i jej następstwo — Korę.) Znikoma miłość zagrożonego bytu rozerwie bierność tymczasową, i nieśmiertelnych wywoła.

Polskiego Prometeusza, majora Łukasińskiego wlecze z sobą W. Książe, czy nie dalej, niż za „daleki Styg“, — do lochów nieogarniętego trudu i cnoty, do długowiecznych lochów Rosyi.

Tam czeka Kora, stamtąd w nieśmiertelnych wieńcu wróci.

Nie wyczerpać najgorętszym żarem słów tej Wyspiańskiego - Wieszcza mądrości. Najdalszem pociągnięciem spojrzenia nie objąć.

Cóż to się kryje pod tem Łukasińskiego zawołaniem, gdy do armaty przykuty w kajdanach, rzecze:

Witaj — Jutrzenko — swobody — —, za tobą — zba-wie-nia — Słońce.

Oto poezya polska krewni się tu na wieki z krwią męczeńskiej wytrwałości i męstwa.

Tu, ze związanego ciała wystrzela niebosiężny duch nadziei, swobodę obwieszczający.

Płonie i spala doszczętnie (boć z Ody do Młodości wyjęte słowa) zmazę młodości jej bujne niedoświadczenie.

Tu Listopadową Noc cudna pewność bierzmuje: Że nie minęła bezpłodnie, do wieńca Kory, do nieśmiertelnego dyademu klejnot wstawiła.

I swobodę głosi tu mąż, który życie swobodne zakończył i w tej jesieni kwitnie straszną wiosną polskiego męczeństwa, On, twierdzy Szlisserburskiej pierwszy polski więzień.

I jeszcze Za: Ody do młodości gorącem posłannictwem uznanie romantycznego ducha, co na rumowisku starego porządku, do serca ludów przyniknął wozy odkrywa Wiosnę ludów.

Uznaje więzień, z lochu niewoli, więc dla duszy rozwoju i spraw, — otucha przecudowna i w wierze zachęta najdoskonalsza.

I jeszcze więcej: Pokoleniom młodym, gdy Kora powróci, wieczne w tym zawołaniu dla chowu serca wychowanie.

Pokoleniom młodym, gdyby nawet ten nawrót Kory do nieskończoności się odwlekał — wieczne napomnienie i niczem nieugiętej szlachetności wyrzut.

Więzień, — święty wychowawca w godzinie n a j d ł u ż s z e g o c i e n i a.

I jeszcze więcej, najwięcej: do broni najazdu, do rogu złej obfitości, — armaty, przywarły właśnie te słowa.

Tu stwarza się w Polaku niezłomny c h a r a k t e r.

Tu stwarza się Nieśmiertelność.

Więzień, święty wychowawca słowami swemi sieje urodzaj w życie polskie.

Więzień, — skała, o którą wywala się struktura polskiej Tragedyi.

Wielka rzecz, ogromna rzecz: Polska nie jest Tragedyą!

Wieniec Nieśmiertelnych rozpoczęty, jeno się chyżo wplatać w ten krąg.

Kora powróci...

Usłyszy skargę Czarny staw?...
Czy Gerlach ją wysłucha?... —
— — — — — — — — — — —
Otuli tylko czarną mgłą
twą boleść nocka głucha
(Twoja siła tak marna i krucha!!...)
— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —
Tatrzański las, zdobywczy las!...

Nie wzbić ci się na szczyty — —
Odwiecznym jest Gewontu krzyż,
odwieczne gór granity.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
(otuliła Tatry noc głucha...)
— — — — — — — — — —
(stary Gewont i patrzy i słucha...)

JAN KLECZYŃSKI. 27)

JULEK.

PORTRET WSPÓŁCZESNY.

Nie rozmawiał z nią już tego dnia wcale. Wolałby, żeby jej tu nie było. Dobranoc jej powiedział szorstko, sucho — aż mu się szczęki zwarły z wysiłku, by nie zapłakać.

Wszystko przypisał „zdenerwowaniu“, czując, że drżenie i ucisk nie zmniejszały się w nim wcale i że to coś zupełnie innego. Błyskawicami pojawiała mu się twarz Jadzi i wtedy rozrywały mu piersi błyski tęsknoty, natychmiast znikające. Zresztą nic — tylko ten stan rozterki, czy rozpaczy, w którym coraz to pragnął śmierci i nie dopuszczał, aby go ogarniał ten zachwyt, którym płonął.

O Czesławie wprost nie mógł myśleć — dla tej prostej przyczyny, że wypełniała mu całą duszę, żyła w nim, żarzyła się w każdym nerwie. Ale on o tem nie wiedział i próżno próbował się uspokoić rozumowaniami, czytaniem, myśleniem o swoich obrazach. Nie rozumiał, co czytał, choć nie myślał przecież o niczem.

Do świtu przesiedział, oparty obydwoma łokciami na stole. Nie czuł chłodu, ani zmęczenia. Znieruchomiał. Może spał — sam nie wiedział...

Dopiero, gdy zaświergotały ptaki, niebo pojaśniało i zaczęło nasiąkać purpurą, Julka ogarnęło drżenie, które przeszło jednak natychmiast, skoro wstał.

Mądrze by było się położyć, myślał niejasno, ale wnet ciepła jakaś ręka ścisnęła go za serce — i w jednej chwili uczuł, że jest rzeźki, wypoczęty i że nie usiedzi na miejscu, nie mówiąc już o leżeniu. Potem nagle, gdy wyobraził sobie, że się będzie musiał przywitać z Czesławą, zrozumiał, że tego spotkania nie zniesie. Nie myślał, nie starał się myśleć, dlaczego, wiedział. Ciepła ręka zaciskała mu serce coraz bardziej, wprost paliła. To było dziwne uczucie — można było wić się ze strachu, bólu i radości zarazem. Chciałoby się uciec od tego — i nie można.

Czasem czerwone iskry zapalały mu się w głowie. Był w tem jakiś entuzyazm.

Julek nałożył kapelusz i wyszedł. Sam nauczył się nagle chodzić po schodach cicho, jak kot. Bez szmeru przekręcił klucz i znalazł się w ogrodzie. Zaraz zwęszył go Bukiet i wijąc się, szczerząc zęby i podskakując, łasił się do niego, skakał mu na szyję, szczekał z radości, aż go Julek musiał uspokajać, trzymając go za miękki, puszysty pysk.

— Świetny czas do polowania — mruknął, patrząc na witające mgły i czerwone słońce, majaczące za niemi.

Wróble sejmowały niedaleko na bzach pod płotem, wrzeszcząc, jak opętane, kłócąc się, goniąc, piszcząc. Dalej gdzieś kukała kukułka. Z drzew kapała rosa. Ani powiewu wiatru.

Wkrótce w stajniach zaskrzypiały drzwi i rozległy się grube głosy, stukania kopyt końskich, dźwięczenie zaprzęgów, tupot ciężkich butów. Przez podwórze szły dwie dziewczyny z wiadrami do studni, rozmawiając półgłosem. Ktoś ziewnął potężnie.

Julek szedł coraz głębiej w ogród i nie wiedział, co ze sobą zrobić. Im dalej szedł, tem bardziej mu ciężyła samotność, serce mu biło coraz prędzej, czuł niepokój we wszystkich nerwach, ucisk jakiś niepojęty w piersiach, w gardle...

Zawrócił.

Gdy szedł ku domowi, czuł ulgę, był coraz spokojniejszy. Spieszył się, jakby się bał gdzieś spóźnić.

— Do wszystkich dyabłów — zaklął z cicha przystając — co to się ze mną dzieje?

Na chwilę spokój. A potem znowu atak ucisku, trwogi.

— A to mi się nerwy rozhulały — mówił z pewną, idyotyczną zresztą radością, czując, że bądź co bądź „nerwy“ każą mu chwilami skakać, śmiać się, szaleć i że on całą siłą powstrzymuje się od tego.

— Obudzę Antka i pójdziemy na kuropatwy — postanowił wreszcie i nagle ogarnął go dziki żal, jakby miał się zabić.

— Trzeba, trzeba koniecznie — odpowiadał w myśli komuś drugiemu, kto widocznie zupełnie inne miał zamiary. Niema co gadać, trzeba — westchnął głęboko i, skradając się na palcach, zastukał do Antka.

Zdziwienie, złość, namowy i t. d., potem radość z projektu, wykradanie zapasów z kredensu i dubeltówki ojca dla Julka z pokoju bibliotecznego, wódka, przekąska i jazda.

Nigdy Julek nie był w takim humorze. Prześcigał się z Antkiem w opowiadaniu kawałów, w dowcipach, śpiewach i strzelał dziś dyablo celnie. Każda kuropatwa wprawiała go w zachwyt.

Przypomniało mu się, co to było, gdy kiedyś zabił pierwszą zwierzynę. Stał na stanowisku, nad wielkiem jeziorem — moczarem. Miały przelatywać kaczki. Ach, co to było. Krążące czajki, kwiląc jak dzieci, ciągle sprawiały mu zawód. Z daleka przecież trudno odróżnić. Serce mu waliło za

każdym ptakiem, co dążył w tę stronę. Nie dobrze się oryentował w odległościach, brał nawet skowronki za kaczki, bardzo wysoko lecące. No i naraz — przebaczcie, ale to podobne wrażenie. Czy szukał kto z was kochanej kobiety w tłumie miejskim? Sto kobiet zobaczycie podobnych do tej jednej, każdy kapelusz, co choć trochę jej kapelusz przypomina, zakłuje was w serce, jak sztyletem, czasem zawrócicie z drogi, żeby pogonić za jakąś „prawie napewno" taką, jak ona i z przekleństwem odwracacie się, że to nie ona — i rozpacz was ogarnia, że ona może tymczasem poszła inną drogą — nie zobaczycie jej. I nagle, patrzcie, z daleka, zaledwie widoczna w tłumie przechodniów, rysów nie sposób odróżnić, jest w innym, nowym kapeluszu i poznajecie, że to ona, nikt inny, nie omylicie się, nie. No i naraz Julek z daleka poznał — to kaczka, nic innego, choć wydawała się mniejsza od wróbla. Namiętność! Pierwszy strzał, jak pierwsza miłość. To wielki dzień młodzieńca.

Co się z nim działo, gdy przykładał kolbę do ramienia. Żadne pióro nie opisze tej bladości, natężenia wszystkich władz, wzroku, by nie spudłować. Drżące ręce przestały drżeć, trzymały dubeltówkę pewnie, jakby się opierała o skałę.

Kaczka rosła, zbliżała się, leciała o jakie czterdzieści metrów nad ziemią. Strzelać? Nie. Zaraz. Jeszcze trochę. Aby nie zapóźno...

Już

Huk strzału, dym i co? co? Nie może być... Kaczka zniża lot, ukośnie spada z pluskiem w wodę.

Jezus Marya.

Julek słabnie.

Zachwyt, szczęście? To mało — skrzydła u ramion rosną. Skowyty jakieś się wydzierają z piersi, dziki tryumf. Julek biegnie, skacze, jakby na cudzych nogach, oblewają go lodowate iskry od góry do dołu, wpada w wodę po kostki, po kolana, grzęźnie w błocie, plącze się w wężowisku łodyg, tataraku, trzciny, licho wie czego — gdzie kaczka?

Jest. Leży martwa na kępce.

Ojej. Co za ulga.

Naprawdę jest.

Julek przytracza ją do pasa, wzrokiem Napoleona patrzy po całem pobojowisku. Cóż mu teraz ci inni, marni ludzie? Spokojny tryumf. A co?

Nie święci garnki lepią... Patrzał na kaczkę z miłością, uwielbieniem...

Julek dziś za każdą kuropatwą przechodził podobne tryumfy, coraz namiętniej, coraz celniej strzelał. Podnosiło go coś, rozrywało go, ogień żarzył się w nim, oczy stały się ogromne, błyszczące... Światy dla Julka.

* *
*

Trzeba było wracać. Głód — to, panie, nie żarty.

Ale Julek nagle zaniemówił. Zmęczył się widać porządnie, bo tak dyszał dziwnie i dalej szedł... Dubeltówka ciężyła mu, kuropatwy chętnie by powyrzucał.

Co to będzie, kiedy przyjdzie do domu?

Niepokój rósł w nim, rozpacz jakaś, czy co?

Ale gdy zastał wszystkich razem przy obiedzie, nagle odżył. Przywitał się z każdym z taką wdzięcznością, czy entuzyazmem, jakby ci ludzie, Bóg wie, co mu zrobili dobrego. Czesława patrzała na niego uważnie, trochę smutnie... A on opowiadał, trzepał językiem bez przerwy, bał się każdej chwili ciszy. Gdyby przestał mówić, może by musiał łkać...

Chwilami błyskały mu takie myśli: „Ona jest dobra, ona sobie teraz wyrzuca, że mnie kokietowała, że ze mną rozmawiała. Ona jest cudna. Nie martw się, o, mylisz się. Dobra, cudna dziewczyno, to nie ty, nie ty. Ty jesteś szczęście, a może jednak... I myśli urywały się, nastawał chaos. Julek przestawał mówić, patrzał zdziwionym wzrokiem po obecnych i znów gadał.

Nie uciekniesz Julku, nie.

Chwilami zimno mu się robiło — patrzył na nią stalowym, krytycznym wzrokiem... Jest mu zupełnie obojętna... Tylko... żeby tak spojrzała na niego, jak kiedyś... raz jeszcze, na sekundę...

Zwróciła się do niego, poważnie, spokojnie, trochę smutna... Oczy jej jakoś zmalały, czy co?

Jaka ona dobra. Martwi się... Cóż on — Julek?... Cóż on?... Oszalał, czy co?... Studencik... trochę artysta... jeszcze nic nie umie, nic nie zrobił... Cóż on?

— Pan nic nie słyszy, co do pana mówię.

— Ja?... A tak, przepraszam — odpowiada sucho, chłodno, bo serce zanadto się zaciska, krew ucieka z twarzy...

I milknie.

Jakiż on głupi, ojej.

Musi być okropnie śmieszny. Wstać? Odejść?... Ach, kiedyż się skończy ten obiad.

Nadeszła niespodziewana pomoc. Przyjechała konno Mara, a za nią zatupotały drobne kopytka jej oswojonej sarenki, którą kochała, jak rodzone dziecko.

Wpadła do jadalni z hałasem.

— Ja do pana Julka — wołała od progu. — Tylko do pana Julka — powtórzyła, gdy skoczyli ją witać. Hala, tu! — cmoknęła na sarenkę, która natychmiast przybiegła, łasząc się do wszystkich, bo znała ich doskonale. — Jak się macie dzieci — ściskała się z Czesławą i Tecią. — O jej udusicie. — Panie Julku, można na chwilę?

I nie pytając więcej wciągnęła go na werandę. W obcisłym kostyumie amazonki, opalona, wyglądała dzielnie, mocno, zmysłowo. Tylko bladawe usta zdradzały jakieś ukrywane cierpienie. Oczy dziś miała szare, gorące, dobre.

— Da mi pan słowo, że zrobi pan to, o co pana poproszę.

Julek spojrzał na nią bystro.

— Dam — odpowiedział, sądząc, że to będą jakieś romantyczne polecenia.

— No, to dobrze. Przywiozłam panu 200 rubli za portret. Musi pan wziąć.

— Co? — zawołał przerażony Julek. — Droga pani Maro — zaczął ją błagać, całując po rękach. Niech pani cofnie to moje słowo, ja doprawdy bym sumienia nie miał. Tyle pieniędzy. Jak można tak kogo podejść. Ja przecież jeszcze nic nie umiem, jabym umarł ze wstydu, a zresztą jakże pani może mi robić taką przykrość. Ja od pani nie wezmę pieniędzy, to trudno. Niech mnie pani ogłosi za infamisa, nie, nie, nie.

Był w takiej rozpaczy, że Mara, choć na razie go nie chciała słuchać, wreszcie zmiękła, ale nie ustąpiła tak łatwo.

— Cóż pan nie chce brać pieniędzy od burżujów? A to co nowego. To pan myśli, że ja pozwolę, żeby się pan zmarnował? Pan musi jechać

zagranicę, uczyć się, kształcić, a my mamy pieniędzy wbród. Czy pan myśli, że my tu będziemy siedzieli w Opalach i obdzierali chłopów? Jędrek przecież dostał to w spadku i ledwie miesiąc tu mieszkaliśmy, kiedy go wzięli. Sprzedamy to chłopom na parcele, jak najtaniej, a pieniążki pójdą, wie pan dokąd. A tymczasem, to ja tu jestem burżujka i żyję z wyzysku i jeszcze bym nie miała takiemu artyście dopomódz? No, bierze pan, czy nie?

— Moja złota pani, nie.

— No, to czekaj pan. Zjedz pan obiad, zaprzęgaj bryczkę i pojedziemy do hrabiny Tyczyńskiej, ona chce, żeby pan zrobił jej portret. Tylko zaraz.

— Taak?

Julek był tak oszołomiony, że patrzył się na Marę osłupiałym wzrokiem i nie wiedział, co robić.

— No, idźże pan na obiad — rozkazała Mara.

Julek robił jakieś niepewne ruchy rękami, wyszedł, wrócił, pocałował Marę w rękę, znów stanął bezmyślnie.

Mara śmiała się z niego, jak szalona.

— Niech się pan nie boi, ta hrabina to jest moja przyjaciółka, taka hrabina, jak ja. Może pan we fraku chciał jechać — co? — Aa! zawołała nagle, chwytając go za rękę. — Proszę popatrzeć mi w oczy. No, tak — dobrze (głaskała go po głowie). Hm — trochę zmizerniał! A ona nic — co? — nie? — Biedny pan Julek! (udawała, że płacze).

— Ależ co znowu — rzekł z dumnym uśmiechem Julek — pani zupełnie się myli!

— Patrzcie państwo! Jak to nie można wiedzieć — drwiła Mara. Niech się pan Julek nie boi, wszystko będzie dobrze! Pewnoście się jeszcze nawet nie pocałowali — co? Ha — ha — ha! Ja wiem, ona jest trochę burżujka, ona czuje odpowiedzialności, winy, a „nie wie napewno“, a „namyśla się“, a trochę „idzie po rozum do głowy i wraca z niczem“ — ha ha ha panie Julku! ach, jacyście wy czasem śmieszni! Ale niech się pan nie boi, ona nie wyjedzie, zanim pan wróci, zobaczycie się jeszcze! Ha ha ha! i niech pan będzie spokojny, nie zapomni pana napewno... — Naprawdę! — dodała poważnie. No, siadać i jechać!

Julek chciał ją uściskać, ale że nie mógł słowa wymówić ze wzruszenia, więc uciekł.

* * *

Antek wytargował konia od ojca dla Julka, więc w godzinę później oboje wyjechali do hrabiny. Julek nie brał nawet ze sobą farb, bo Mara mówiła, że to niepotrzebne, bo hrabina sama malowała i miała stosy farb, płócien, stalug, pędzli, „czego dusza zapragnie“.

Hrabina było to kobiecisko wesołe, mądre, ogromnego wzrostu, kiedyś ładne, strasznie delikatne i dobroci anielskiej. Życie Julkowi upływało jak w raju, a Mara z hrabiną prześcigały się w wesołości.

Poza malowaniem portretu hrabiny i jej jakiejś krewnej głównem zajęciem Julka w Tyczynie (majątek hrabiny) były zabawy z sarenką Mary, cudnem stworzeniem o aksamitnym pyszczku i tęsknych oczach. Sarenka rozumiała każdy gest swojej pani, była smutna, kiedy Mara wpadała w melancholię, brykała i dokazywała, kiedy Marze było wesoło. Nosiła na szyi czerwoną kokardę i była doprawdy tak miła, jak mała, grzeczna i wesoła dziewczynka. Julek, choć porywały go straszne tęsknoty za Czesławą, zaczął, skończywszy zamówione portrety malować Marę z sarenką. Kontrast stalowo-surowych, dobrych i naiwnych oczu Mary i słodkiej tęsknoty wzroku sarenki porywał go, czuł, że to mogłoby być doprawdy „dzieło“, gdyby tylko zdołał opanować trudności, które sam sobie zadawał, szukając wyrazistych, najprościej malujących wymarzony wyraz linii, czuł, że przeczuwa jakąś syntezę tego nowego rysunku, do którego tęsknił. Szło mu jednak dobrze, pracował intuicyą, nie umiejętnością — i rzecz miała się już ku końcowi, kiedy pewnego dnia przyjechał Antek z telegramem do Julka.

Były tam tylko cztery wyrazy:

„Ojciec chory, wracaj natychmiast“.

Julkowi z niemiłosierną wyrazistością zamajaczyły smutne, chore oczy ojca. Uczuł, że blednie. Ale niby to był spokojny, tylko po chwili ze zdziwieniem zauważył, że mu trochę nogi ociężały.

— Muszę zaraz jechać — rzekł dziwnym głosem.

— Co się stało?

Julek w milczeniu pokazał telegram.

— Ach mój Boże, niech zaraz siodłają konia! — zawołała hrabina i wyszła sama dopilnować, żeby to się stało jaknajprędzej.

Antek wyszedł za nią.

Julek spoglądał tępym wzrokiem na Marę i milczał. Wakacye się skończyły. Wracało życie.

Był ogłuszony. Z przerażeniem patrzał na grę swojej wyobraźni, która ukazywała mu ojca umierającego, ciszę w domu, chodzenie na palcach, szepty, ukrywane szlochanie — i nie wierzył, nie chciał wierzyć tym obrazom.

Mara podeszła ku niemu i wzięła go za rękę.

— Dobry z pana chłopak — rzekła — tylko energii więcej!

A potem dodała z tą rubaszną wesołością, którą zawsze pokrywała wzruszenia:

— Nie chciałabym, żeby się pan zmarnował, bo mi pan bardzo przypomina... mojego brata.

Julek był zanadto oszołomiony, żeby się zastanawiać nad tem, co mówi i odpowiedział naiwnie, przypominając sobie, co czuł, gdy słuchał u Wacka słów muzyka:

— Wie pani, że to już mnie samemu przychodziło do głowy.

Mara zaczerwieniła się po szyję, po piersi, całem ciałem chyba. Spojrzała na niego mętnie, ale potem nie mogła się wstrzymać od śmiechu.

— Ach Boże — zawołał Julek przerażony — co ja też...

A widząc, że Mara się śmieje przez łzy, mówił dalej, prawdziwie zrozpaczony.

— Moja złota pani, moja złota pani, jakiż ja jestem — ach jej!

— No dosyć tego: — rzekła szorstko Mara.

I uściskali się z całej mocy.

(C. d. n.)

MICHAŁ PANKIEWICZ.

W SPRAWIE „PARANII PARAŃSKIEJ".

II.

Cały szereg wyobrażeń, uprzedzeń i fikcyi, istniejących w naszem społeczeństwie w stosunku do Parany już się rozwiał. Nie rozwiały się jedynie pojęcia w nadzwyczajnych trudach związanych jakoby z wycinaniem bezbrzeżnych puszcz parańskich, owszem spotęgowały się w ostatnich czasach i są wysuwane coraz! częściej, jako jedyny i niezwyciężony argument przeciwko emigracyi do Parany.

W rzeczywistości zaś wycięcie najwspanialszego lasu dziewiczego jest zadaniem łatwym i doskonale opłacającym się jeszcze w pierwszym roku. Dla udowodnienia swego twierdzenia przytoczę dane o kosztach wycięcia i spalenia lasu, zasadzenia i zbioru kukurydzy na 1 alkru (1 alkier — 4, 6 morga 300 prętowego) ziemi i zyskach stąd otrzymanych.

Wycięcie lasu grubego, łącznie ze spaleniem, kosztuje od 50 do 80 milrejsów (1 milrejs=1000 rejsów=60 i parę kop.) Kolonista polski nigdy nie wynajmuje się do cięcia lasów, natomiast „Kabakło" brazylijski bardzo często. Wogóle cięcie i palenie lasów jest jedyną robotą, którą kabakło lubi i wykonywa bez porównania lepiej i prędzej do naszych kolonistów. Sadzi się kukurydzy kalkier ziarna na 1 alkier ziemi (35 kilo na 25.000 metrów kwadratowych.) Koszt nasienia wynosi 3 milrejsy 300 rejsów, licząc kalgier (100 kilo) po 10 milr. Sadzenie kosztuje 8 milr. (2 robotniuów po 4 milr. dziennie.) Sprzęt, zależnie od odległości razem z młocką, nie przenosi 1 milrejsa 500 rejsów od kalgra,

Urodzaj kukurydzy bywa rozmaity. Średnio waha się około 40 kalgrów z alkra. Najmniejszy wynosi 25, najwyższy zaś nie da się określić, albowiem kukurydza jest bardzo wdzięczną na kulturę i wszelkie zabiegi koło roli wynagradza sowicie, w każdym razie 80 kalgrów z alkra nie należy do rzadkości.

Cena kukurydzy waha się od 6 do 8 milrejsów za kalgier, obecnie zaś wynosi 10 milrejsów.

Po zestawieniu tych danych otrzymamy przejrzysty rachunek wykazujący czysty zysk przy uprawie.

Cięcie i palenie lasu	— 80 milrejsów.
Siew i nasienie	— 11 300 rejsów.
Zbiór i młocka	— 60 milrejsów.
Razem koszta uprawy	151 300 rejsów.
Urodzaj (40 kalgrów po 6 milrejsów)	240 milrejsów.

Czysty zysk z alkra wynosi 88 mil. 700 rejsów.

Wybrałem dla przykładu kukurydzę, gdyż jest to roślina najwięcej ropowszechniona w Paranie i mająca wielką przyszłość przed sobą. Dzięki ogromnym zapotrzebowaniom — Brazylia sprowadza kukurydzę w znacznej ilości z zagranicy— nie grozi jej ani nadprodukcya, ani spadek cen. Przytem kukurydza jest pierwszą rośliną plantowaną natychmiast po wypaleniu lasu.

Powtórne sadzenie kukurydzy kosztuje znacznie taniej, ubywa bowiem cięcie puszczy. Wycięcie „rosy", (zarośli) 4 letniej kosztuje najwyżej 40 milrejsów, zwykle zaś 20.

A przecież koloniści mogą uprawiać rośliny dające dochód większy od kukurydzy, np. tytoń, mandyokę, bawełnę, owoce europejskie i t. d. Wszystko to udaje się wpaniale w Paranie.

Trudności związane z pierwszymi krokami na nowej ziemi, osadnicy przezwyciężają bardzo prędko. W brazylijskiej gazecie „Estado do S. Paulo" z dnia 2 września 1911 ukazała się notatka tej treści: „Bawią obecnie w Rio—do—Janejro dwaj osadnicy z kol. Guarany w Rio—Grande—do Sul. Są oni wysłani do Europy przez 62 rodziny kolonistów po zakupno narzędzi rolniczych, nasion i warsztatów tkackich do lnu. Wspomniani koloniści, Padro Wolmero i Damiano Hilemko, są zaledwie dwa lata w Brazylji, a jednak zdobyli pozycyę materyalną wcale nie złą, jak informuje dyrektor kolonii. Hilemko wybudował nawet duży młyn wodny. Dr. Pedro de Toledo, minister rolnictwa, polecił głównemu dyrektorjatowi służby zaludnienia kraju poczynić im wszelkie możliwe ułatwienia w podróży i powrocie z Europy".

Zagadnienie przeto emigracyi do Parany, biorąc je z punkt widzenia czysto materyalnego, sprowadza się do kwestyi warunków przyrodniczych, komunikacyjnych i t. d. ściśle określonej kolonii.

T-wo Opieki nad Wychodźcami — wślad za nim powtarza to p. Kurnatowski — prawiąc w swym komunikacie o koloniach, zakładanych w głębi lasów i pozbawionych środków komunikacyjnych, jak również o najodpowiedniejszych dla osadnictwa polskiego koloniach, opuszczonych przez Niemców, dało dowód posiadania bardzo bujnej wyobraźni, umiejącej stwarzać rzeczy nieistniejące. Nowych kolonii dotychczas założono dwie: Cruz-Machado i Florestę.

Cruz-Machado jest w odległości 40 kilometrów od stacyi kolejowej Marechal-Mallet i ciągnie się aż do największej rzeki w Paranie, Ignassu, ograniczającej kolonię od południa. Z dwóch innych stron, wschodniej i zachodniej ograniczają ją dopływy Iguassu: Palmitol i d'Arcia.

Budująca się linia kolejowa do granicy paragwajskiej przejdzie w bardzo blizkiej odległości od Cruz-Machado. Cruz-Machado jest kolonią na płaskowyżu Gurapuawskim, pierwszą większą kolonią nad dolnym Iguassu, kolonią, otwierającą wstęp do najurodzajniejszej i mającej największą przyszłość części Parany. Gleba według opinii p. Bagniewskiego kierownika dwuch pól. doświadczalnych na Czur-Machado, dobra i im dalej w głąb kolonii tem lepsza. O dobroci gleby świadczy też nadzwyczajna grubość drzew. Zaraz na początku kolonii spotykają się pinjory (sosna brazylijska 6-ciu metrów obwodu. Naturalnie koszt wycięcia takiego lasu jest większy, lecz większy i urodzaj.

Cruz-Machado zajmuje 750 kilometrów kwadr. obszaru i ma zawierać od 2.500 do 3.000 gospodarstw.

Floresta, obliczona na 300 rodzin, jest położona koło samej stacyi kolejowej, Iraty; doskonała gleba,

łatwe zarobki i wygodna komunikacya czynią z niej najlepszą kolonię z pośród założonych w ostatnim pięcioleciu.

Wszystkie projektowane kolonie będą przeważnie zakładane koło miast i miasteczek, domagających się gwałtownie od rządu otoczenia każdego z nich, na wzór Kurytyby, koloniami, któreby dostarczały produktów rolnych. Pierwsze miejsce zajmuje tutaj Panta-Grossa, największe po Kurytybie miasto w Paranie. Rząd zaczyna już uwzględniać żądania miast, albowiem przed dwoma tygodniami zakupił pod kolonizacyę znaczną posiadłość 4-ro tysięcznego miasta, Castro, będącego zarazem stacyą kolejową.

Tylko nadzwyczaj żyzne wybrzeża rzeki Ivahy — wkrótce przystąpią do kolonizacyi w tamtych stronach — są zupełnie pozbawione drogi żelaznej ale nie na długo, ponieważ w początkach r. 1912 przystępują do budowy z Ponta-Grossy do Sete-Quedas na rzece Paranie linii kolejowej, przecinającej rzekę Ivahy.

Jedyną kolonią w Paranie, posiadającą większy procent Niemców (razem z Holendrami nie przekracza on 25 prc.) jest Iraty o 280 gospodarstwach. W maju — w tym mniej więcej czasie wyszedł sławny komunikat T-wa Opieki, na który powołuje się p. Kurnatowski — było tam wszystkiego wolnych miejsc... 18. Zostały one jeszcze w maju zajęte przez rodziny z Zamojskiego.

Ciekawym jakim sposobem myślało T-wo. Opieki ulokować na 18 gospodarstwach tysiące emigrantów, wyjeżdżających według tegoż T-wa do Parany.

Sławetne T-wo Opieki o Syberyi wydało jeden jedyny komunikat bardzo blady i bardzo krótki pomimo, iż emigracya na Syberyę jest znacznie większa od takowej do Parany, pomimo, że całe społeczeństwo uważa emigracyę na Syberyę za klęskę narodową. Czy czasami sekret powodzi komunikatów o Paranie nie kryje się w fakcie emigracyi parobków ks. Czetwertyńskiego do Parany?

Ale wróćmy do cyfr. Za cały okres kolonizacyi obecnej, t. j. od dnia 1 stycznia 1908 r. do 31 lipca 1911, przyjechało do Parany 5.240 Polaków z państwa rosyjskiego (Estado de S. Paulo 8-go września 1911), z tego 475 w r. 1910 (Sprawozdanie parańskiego inspektoratu kolonizacyi) i przypuszczalnie koło 2 tysięcy w latach 1908 i 1909. Na rok przeto 1911 pozostaje koło 2.800 plus 100 zgórą osób przybyłych w sierpniu i wrześniu. ostatnia liczba zgadza się z wykazami Kurytybiskich pism polskich dawanymi co miesiąc.

Na Syberyę zaś z jednego Zagłębia Dąbrowskiego w r. 1910 wyjechało 5.092 osoby, w pierwszej połowie roku 1911 zapisało się do wyjazdu 460 rodzin (Nowa-Reforma Nr. 370 z dnia 15 sierpnia 1911). Emigracya na Syberyę istnieje nietylko z Zagłębia. Pan Bagniewski spotkał w Paranie kilka osób z Lubelskiego, które trafiły tutaj via Syberya. Mianowicie już w Syberyi jakiś intelligent-Polak zgromił ich i wskazał Paranę.

W czasie swej wędrówki po kraju miałem możność zasięgnięcia w Radomiu pewnych informacyi o ruchu na Syberyę. Okazało się że zainteresowanie Syberyą wśród włościan jest znaczne i że do odpowiednich urzędów zwraca się sporo osób.

Na Syberyę emigruje robotnik fabryczny, który nie zapomniał jeszcze o roli i gospodarz, do Parany zaś przeważnie proletaryusz wiejski, a przedewszystkim parobek, np. książe Czertwertyński w Siedleckiem został literalnie ogołocony ze służby folwarcznej. Fakt emigracyi służby dworskiej do Parany potwierdza też i „Kuryer“ lubelski w Nr. 200 z dnia 2 września b. r. następującą notatką: „Z Zamościa. Okolicę naszą znamionuje obecnie niezwykle liczne wychodźtwo służby dworskiej do Parany. Do wyjątków należą folwarki, gdzie się utrzymał komplet fornali, i są majątki, skąd wszyscy służący co do nogi wyemigrowali (Wieprze).“

Emigracya zamożnego włościaństwa do Parany jest w całości tworem wyobraźni T-wa Opieki. Zdaje się nigdzie niema takiej nędzy, jak w Galicyi Wschodniej, a jednak potwierdzają to wszyscy stykający się w Paranie z obecną falą emigracyi polskiej emigranci wschodnio galicyjscy są znacznie zamożniejsi od emigrantów z Królestwa.

Powstanie kolonii różnojęzycznych przy dzisiejszych warunkach jest rzeczą niemożliwą. Z ogólnej sumy 18.380 emigrantów, przybyłych do Parany w czasie od 1-go Stycznia 1908 do 31 lipca 1911, tylko 1.856 przypada na Niemców, 521 na Holendrów i po kilkadziesiąt na Szwajcarów, Włochów i Hiszpanów. Resztę stanowią Polacy z Austyi i państwa rosyjskiego i Rusini galicyjscy. Nieznaczny napływ Niemców i Holendrów ma tendencyę do zmniejszania się np. w r. 1910 Niemców przyjechało 352 osoby, Holendrów—78. Włochów—20 na ogólną cyfrę 2.539. W roku zaś 1911 według informacyi, otrzymanych z Wyspy Kwiatów, poza Polakami i nielicznymi Rusinami, do Parany nikt nie jedzie. Potwierdza to statystyka poszczególnych kolonii, która poza Iraty nie wykazuje nigdzie Niemców.

Wogóle każda narodowość ma już swój utarty szlak: Włosi ciągną do S. Paulo, gdzie się czują równie dobrze, jak we własnej ojczyźnie, Niemcy do S. Kataryny i Rio-Grande-do-Sul, gdzie język niemiecki w wielu wypadkach jest potrzebniejszy od portugalskiego, Szwedzi i Rosyanie (Volmew i Hilemcko zdaje się są Rosyanami) również do Rio Grande i t. d.

Wszelkie represye w wyborze miejsca do osiedlenia się są wyraźnie zabronione przez art. 102 ustawy emigracyjnej. Natomiast moralna nie jest wykluczona, jak tego dowiodły na Wyspie Kwiatów wypadki czerwcowe roku bieżącego.

Pod wpływem starań politykierów riograndeńskich dyrektoryat kolonizacyi chciał jedną z największych partyi polskich wysłać do Rio-Grande.

Wychodźcy nasi postawili się jednak bardzo buńczucznie i po upływie dwóch tygodni zostali wszyscy odesłani do Parany.

Faktem tym zainteresowała się opinia publiczna. Zjawiły się artykuły w prasie. Dyrektoryat dał wyjaśnienie, w którym zaznaczył, iż on bynajmniej nie myśli powstrzymywać emigracyi do Parany i że wszelkie nadużycia w tym kierunku będą karane. W stosunku do Niemców, Włochów i t. d. nawet presya moralna nie może mieć miejsca, gdyż następuje natychmiast interwencya konsulatów.

Brazylia, Parana, Nowa-Galicya, 13. paźdz. 1911.

BOLESŁAW LUBICZ.

LISTY Z ZESŁANIA.

Co więcej, w ciężkiej, dławiącej atmosferze zesłania przykład dawany przez bandytów wywiera czasami demoralizujący wpływ i na innych zesłańców. Nędza bywa nieraz wprost rozpaczliwa, głód systematyczny, stały, zjadający ciało i niszczący odporność ducha. Oczywiście, że pokusie opierają się istotni rewolucyoniści, t. zw. „prawdziwi politycy“. Lecz jak mówiliśmy już, wśród adm. zesłańców, a nawet i osiedleńców jest wielu i „nieprawdziwych“, — jest obecnie dużo jednostek, nie mających nic wspólnego z polityką, ani rewolucyą, i nie przynoszących ze sobą pewnych zasad niewzruszonej etyki i rewolucyjnej świadomości, że się służyło Sprawie, — która to świadomość może jedynie uodpornić wolę i zabezpieczyć ją przed destrukcyjnym wpływem nieustannych poniżeń i ciosów, spadających dzień po dniu na wygnańca. Z wielu miejscowości zesłania dochodzą wieści o dokonanych tam grabieżach, gwałtach i mordach. W kilku miejscach notowano nawet gwałcenie kobiet. W paru z tych ohydnych zbrodni zamieszane są nazwiska polskie. Chciejmy wierzyć, że spełnili je „pobytowi“.

Już to wogóle, dzięki usilnej i natężonej pracy i macchiawelskim zabiegom policyi w Królestwie Polskiem, najbardziej, być może, na wysyłce ucierpiała ostatnio sława polskiego imienia. Donoszą nam o tem listy zesłańców. Jeszcze tak niedawno uważani — szczególnie na Syberyi — za „chytrych“ w (znaczeniu: rozumnych) „doktorów“ i „cudotwórców“*), spadli już oni w opinii ludności i z każdym dniem spadają niżej. W niektórych miejscowościach zaznaczają się już przebłyski jawnej ku nim niechęci mieszkańców.

Co prawda i dawnej spotykali się Polacy z objawami wrogiego do nich stosunku. Wspomina o tem Karol Lubicz Choyecki, wspominają — Tokarzewski, Zielonka**) i inni. W każdym bądź razie, nawet wtedy, gdy byli darzeni niechęcią, nie przestawali Polacy uchodzić za „mądrych“, „wszechmocnych“***) i — nadewszystko — bezwarunkowo uczciwych.

*) Patrz: Zielonka Ludwik: „Wspomienia“ Serya II-ga (Przyp. aut.)

**) Jako ciekawy przyczynek do dawnych, dziś już wprost niemożliwych do pomyślenia stosunków, przytoczymy tu odnośny ustęp z Zielonki: „Z dworca kolei żelaznej przez silną eskortę nie prowadzeni, ale pędzeni do więzienia policyjnego, byliśmy świadkami barbarzyństwa zbydlęconego ludu miasta Moskwy. Gdy się wieść rozeszła po Moskwie o przepędzeniu Polaków, zrobiło się zbiegowisko ludu, lżono nas ostatniemi słowami i rzucano na nas kamieniami. Żandarmi, którym byliśmy oddani w Warszawie pod odpowicdzialnością dowiezienia nas do Tobolska i dodana eskorta wiele mieli do czynienia, by nas od napadu i znieważenia pospólstwa uchronić. Widocznie ród niewieści odznaczał się w Moskwie większą ku nam nienawiścią od mężczyzn, bowiem z dworca kolei żelaznej w Moskwie do więzienia szliśmy sześć wiorst drogi pod widokiem nagich okazów (!?), świadczących o dobrej tuszy pięknej połowy rodu stolicy Moskwy; dziś jeszcze na wspomnienie tych chwil rumieniec wstydu pokrywa nasze oblicza: Moskiewki znać, pod wpływem nienawiści ku nam, przepomniały o wrodzonej kobietom wstydliwości (Ludwik Jastrzębiec Zielonka. „Wspomienia z Syberyi od roku 1863—1869.“ „Serya 1-sza“ str. 22—23.) — Tokarzewskiego cytowaliśmy już poprzednio. (Przyp. aut)

***) Patrz· Zielonka Serya II-ga i inne.

Obecnie dzięki polityce rządu rosyjskiego, nietylko że „wszechmocność“ ich i „mądrość“ zostają zakwestyonowane, — lecz — co gorsza — opowiadania o ich dawnej uczciwości bez zmazy stają się przedawnioną i zapomianą legendą. Opowiadano mi że w jednej miejscowości w Rosyi chłopi przez dłuższy czas nie chcieli wierzyć, by niecieszący się ich sympatyą zesłaniec mógł być Polakiem. Wysyłka ostatnich lat zmieniła dużo pojęć. Rozwiane zostały pewne aureole, śladu nie pozostało po pewnych nimbach. Dziś już, być może, Anhelli mógł by być wzięty, gdzieś w tajdze syberyjskiej, za kieszonkowego złodzieja. Smutne to, lecz prawdziwe.

* * *

Wysyłając całe masy ludzi, rząd próbuje co prawda ich segregować na mniej, lub więcej uświadomionych*), posyłając jednych na Jakuty, lub do Narymu, zaś drugich do Astrachania, lub Solwyczegodska, — segregacya ta jednak nie jest ścisłą, nie może być ścisłą. Istotna segregacya następuje dopiero tam na wygnaniu, dzieląc „kolonie politycznych“ na wrogie sobie obozy. Nie jest już obecnie tajemnicą, że niemal większość „kolonii“ jest obecnie podzielona na „grupy“, nie utrzymujące ze sobą stosunków towarzyskich. Wspominaliśmy już o wydawanych przez kolonie „odezwach“ do ludności. W Syberyi, w wielu miejscowościach rozłam przybrał nader ostry charakter. Tak było w Turuchance, tak było w wielu miejscowościach Jakutki, tak jest w Zabajkalu.

Przechodzimy tu już do innej kwestyi, mianowicie do „wewnętrznych“ stosunków, panujących w „koloniach“ zesłańców. Nim jednak zatrzymamy się na tym nieco dłużej, słów parę powiedzieć należy o „kulturalnych warunkach“ zesłania:

Oto leży przed nami list:

„Gub. Tobolska, sioło Kułarewo dn. 5 I 1911 r.**)

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W imieniu kolonii politycznych zesłańców, ośmielam się prosić Szanow. Pana Redaktora o łaskawe przysłanie nam tygodnika „Życie“. Oddaleni od kraju, od swoich, od wszelkich ognisk kultury, cierpimy tu na wygnaniu nie tylko głód materyalny, lecz i stokroć gorszy — duchowy. Nie mając możności i środków na zaprenumerowanie pisma, prosimy o przysyłanie nam takowego bezpłatnie. Pozostaję z głębokiem szacunkiem, upoważniony od towarzyszy, Stanisław K. Adres: Syberya i t. d.“

„...Dostać się do Was — to jedyny nasz cel; z Wami razem walczyć, — razem dzielić smutek i radość polskiego narodu! — pisze inny zesłaniec***). — Jak będziecie list pisać — piszcie dużo

*) Czytaj: — dla siebie niebezpiecznych.

**) List ten nadesłany został na ręce p. Gustawa Daniłowskiego, ówczesnego redaktora „Życia“. Autorem jego jest robotnik, cała kułarewska kolonia składała się równleż wówczas z robotników. Podobne listy otrzymywali i inne redakcye.

***) Lista datowany 23XII. 1911 r. z Martynowskoj wołości (gminy) kireńskiego powiatu, Irkuckiej gub., pisany przez b. katorznika — robotnika — pps-owca, T. W.

i obszernie, każda wiadomość, choćby najmniejsza sprawia nam radość i rozwesela stęsknione dusze. Żyjemy, jak w pustyni, ani gazet, ani książek nie mamy. Listy otrzymujemy bardzo rzadko i to albo wcale, albo przeważnie bardzo mało zawierających wiadomości..." Takich listów przytoczyć moglibyśmy całe setki. — Troska o zaspokojenie głodu duchowego" nie opuszcza więźniów i wygnańców. Ten sam, cytowany przed chwilą, wygnaniec-robotnik, były lokator Aleksandrowskiej „centrali"*), wspomina o wykładach, jakie systematycznie się odbywają w tem więzieniu, dodając przytem: „Wybaczcie, że piszę źle i rozwlekle. Aleksandrowski uniwersytet nie jest jeszcze na tyle udoskonalony, ażeby w ciągu 3 lat można w nim było wszystkiego dobrze się nauczyć". Ta chęć kształcenia się, otrzymywania, choćby za cenę wyrzeczenia się najelementarniejszych potrzeb materyalnych, pism, książek, a nadewszystko może „podręczników" staje się w pewnych wypadkach powodem do charakterystycznych scysyi i zatargów w łonie samych kolonii. O takiego rodzaju zatargu donoszą nam listy z Jenotajewska**).

„Stosunki, jakie panują pomiędzy zasłańcami Polakami i Rosyanami nie można nazwać przyjacielskiemi, a prędzej wrogimi, a osobliwie Rosyan do Polaków. W zeszłym roku jeszcze była „Kolonia politycznych zesłańców", do której i myśmy należeli; kolonia ta pobierała po 20 kop. od każdego członka, oprócz tego co miesiąc otrzymała z Astrachańskiego biura czerwonego Krzyża 15—30 rs. miesięcznie. Cały dochód dzielono na tzw. fundusze. Na fundusz kulturalno-oświatowy przeznaczono 16 prc. Otóż o te pieniądze zawsze był spór — bo prawie wszystkie szły na rosyjskie miesięczniki i książki, a dla nas, na polskie miesięczniki i książki nigdy nie było pieniędzy. Na nasze żądanie wypisać polskie książki za część, która na nas przypada, Rosyanie studenci i intelligenci*) odpowiadali, że polskie książki są drogie, a rosyjskich jest dużo, więc możemy czytać i rosyjskie. Gdy z tego powodu wychodziły sprzeczki, to Polaków nazywali nacyonalistami, szowinistami i nawet raz obezwali chuligami. Wtedy już nie mogliśmy dłużej wytrzymać i nastąpiło zerwanie stosunków; — jednem słowem postępowali z nami niesprawiedliwie, więc usunęliśmy się od nich i zorganizowaliśmy się we własną grupę. Tych polskich książek, jakie tam były, — to nam z początku nie chcieli wydać; wreszcie po parumiesięcznym zwlekaniu wydali w ubiegłym tygodniu. Cała biblioteka nssza składa się obecnie z kilkudziesięciu tomów przeróżnej zbieraniny, jaką pozostawili po sobie wyjeżdżający zesłańcy po odbyciu wyroku. Mamy przeważnie roczniki pism tygodniowych, jak „Wolne Słowo", „Prawda", „Wiedza", „Społeczeństwo" i przeróżną starzyznę, — kilka broszur treści naukowej i politycznej, dwa tomy Mickiewicza, Don Kichota i jemu podobnej literatury. Jeślibyście mogli dla naszej biblioteki postarać się o dzieła Słowackiego i resztę tomów Mickiewicza, Orzeszkowej, Konopnickiej i innych naszych pisarzy, którzy są chlubą naszego narodu? — O to, coby było po nad siły wasze, nie będziemy was prosić..."*)

(C. d. n.)

*) jedno z większych katorzniczych więzieni w Syberyi.

**) Europejska Rosya.

*) list ten jak i poprzednie, pisany przez robotnika; wszędzie zachowujemy styl bez zmiany.

**) list z 1911 r. z Jenotajewska, Astrachańskiej gub. Wyjmujemy go ze zbiorów „Polskiego Towarzystwa dla niesienia pomocy więźniom i zesłańcom politycznym". Stylistyczne odrębności zachowaliśmy bez zmiany. (Przyp. aut.).

DR. B. DYBOWSKI.

LEGENDA O SKARDZE.

Pan Ferdynand Höesick, w Nr. 598 „Słowa Polskiego" przedświątecznym, z dnia 23/XII 1911 r., w artykule, noszącym nagłówek „Skarga na obrazie Matejki" podał do wiadomości publicznej legendę, dotyczącą genezy głowy kaznodziei, na rzeczonym obrazie Matejki.

Musimy nasamprzód powtórzyć tu na tem miejscu całą legendę, a dopiero potem postaramy się ocenić jej prawdopodobieństwo.

Matejko — powiada p. F. H. — wymarzywszy sobie, jak musiał wyglądać złotousty kaznodzieja Zygmunta III, w chwili wygłaszania swych Kazań Sejmowych, z pewnym konkretnym typem w wyobraźni — który sobie niewątpliwie urobił na podstawie znanego autentycznego portretu Skargi — chodząc po Krakowie po ulicach, po kościołach, po rynku, wciąż się rozglądał za człowiekiem o głowie, podobnej do tego wymarzonego typu, lecz ani między swoimi znajomymi, ani wśród obcych, przygodnie spotykanych, nie mógł natrafić na taką charakterystyczną głowę, jakiej właśnie potrzebował do swego obrazu.

Nagle, któregoś dnia, idąc ulicą, spotkał człowieka w średnim wieku (podkreślam to orzeczenie wieku człowieka spotkanego) „z pyszną ascetyczną głową" (również podkreślam wyrażenie głowy „ascetycznej") „z czarnemi ognistemi oczyma, pełnemi egzaltacyi, z włosami długimi, przedwcześnie przyprószonymi siwizną, z suchym orlim nosem, z rzadkim zarostem, poprostu swojego Skargę, takiego kubek w kubek, jak ten, którego oczyma duszy widział na swoim obrazie. Był to — jak się okazało później — słynny rewolucyonista, a z czasem długoletni więzień Schlüsselburski, Bronisław Szwarce, który, wymknąwszy się żandarmom rosyjskim, chwilowo bawił w Krakowie, ale i tu był niepewny bezpieczeństwa, bo mógł być tropiony przez policyę austryacką, któraby go z pewnością wydała władzom zaprzyjaźnionego rządu".

Spostrzegłszy go, Matejko natychmiast poszedł za nim, ażeby pochwycić pierwszy sposobny moment dla zapytania go, czyby mu nie zechciał pozować do postaci Skargi.

„Tymczasem Szwarce, zauważywszy, że jakiś podejrzany mizerak w okularach, wyglądający na szpicla, idzie za nim, przyglądając mu się z niedwuznacznem zainteresowaniem, przeląkł się nie na żarty, przekonany, że to jakiś tajny ajent policyjny austryacki, a może i rosyjski, czyha na jego zgubę, zamierza go aresztować i dlatego tak podąża za nim krok w krok... Widząc, że jest tropiony, Szwarce postanowił zmylić pogoń. W tym celu raz zwalniał, raz przyspieszał kroku, wstępując do różnych sieni, lub skręcając w boczne; ale wymykał się daremnie, bo ilekroć obejrzał się za siebie, zawsze spostrzegał owego małego człowieczka w okularach, jak cień sunącego za nim. Blizki rozpaczy, pełen lęku, że się skryć nie zdoła, że wpadł w pułapkę, z której wyratuje się chyba cudem, gdy już obszedł kilka ulic, a ciągle pod bacznem okiem owego podejrzanego krótkowidza, Szwarce już się zaczął poddawać zwątpieniu, ale jednocześnie nie był głuchy na zbawienne podszepty instynktu samozachowawczego; a ten instynkt radził, żeby czemprędzej wracał do hotelu, spakował rzeczy, nim ów tajny ajent zdołał zawiadomić policyę i pierwszym odchodzącym pociągiem wyjechać z Krakowa, wszystko jedno w którą stronę".

Powziąwszy takie postanowienie, bo na razie nie widział innego ratunku, przyspieszonym krokiem poszedł ku hotelowi, gdzie mieszkał, a gdy się dostał do bramy, co tchu wbiegł na schody, tak, ażeby tropiący go policyant choć na jedną chwilę stracił oryentacyę, ażeby wszedłszy za nim, nie mógł wiedzieć odrazu, gdzie ścigać upatrzoną ofiarę, na pierwszym, czy na drugim piętrze, pod jakim numerem, na dziedzińcu, czy w hali restauracyjnej. Plan ten dość zuchwały, udał się Szwarcemu wybornie, tak, że gdy, wszedłszy do swego pokoju, zamknął za sobą drzwi na klucz, mógł mieć tę pewność, że bądź co bądź zyskał na czasie, bo nim policya przyjdzie przeszukać hotel, on już zdąży się ulotnić (może jakiem tylnem wejściem). W tem przeświadczeniu, widząc, że niema chwili do stracenia, gorączkowo zaczął pakować rzeczy, które niedbale rzucał do walizy, gdy nagle... zapukano lekko do drzwi. Był stracony, jak mniemał. Oniemiały z przerażenia, z sercem bijącem, gdy po chwili zapukano powtórnie, poszedł otworzyć, już zrezygnowany, już przygotowany na wszystko najgorsze. Ale jeżeli w ostatniej chwili miał jeszcze odrobinę nadziei, że to może jaki znajomy przychodzi w odwiedziny do niego, to ta błoga nadzieja pierzchła w jednem mgnieniu oka, skoro otwarłszy drzwi, ujrzał to samo indywiduum w okularach, które szło za nim na ulicy...

Struchlały na jego widok, Szwarce nie mógł się zdobyć na jedno słowo zapytania, czem widocznie pomieszany przybysz wkońcu pierwszy przerwał milczenie, mówiąc nieśmiało, głosem cichym, jakby wylęknionym.

— Pozwoli pan dobrodziej, że mu się przedstawię. Jestem Jan Matejko, malarz.

— Czem panu mogę służyć — zapytał zdumiony Szwarce, nie wiedząc jeszcze, co myśleć o tem wszystkiem, co się mogło ukrywać pod tą mistyfikacyą.

— Mam wielką prośbę do p. dobrodzieja. Chodzi mi mianowicie o to, że maluję obraz, do którego potrzebuję modelu do postaci Piotra Skargi. Takiego modelu nie mogłem znaleźć dotychczas, ale p. D. jest właśnie tym upragnionym typem. Byłbym bardzo zobowiązany p. D., gdyby mi p. D. zrobił tę łaskę, tę wielką przysługę i zechciał mi pozować parę razy.

Jakto? już ochłonąwszy z pierwotnego wzruszenia, zapytał znacznie pewniejszym głosem Szwarce.

— Więc to dlatego chodziłeś p. jak cień za mną. To p. jesteś naprawdę malarzem? A ja myślałem...

Uspokojony zupełnie, Szwarce chętnie przychylił się do prośby, a gdy zobaczył, w pracowni przy ulicy Krupniczej, wspaniały obraz, na którym jego twarz miała być uwidocznioną, jako natchniona głowa Skargi, z tem większą satysfakcyą pozował młodemu artyście, z którym przy tej sposobności zaprzyjaźnił się serdecznie.

W ten sposób, jak mi o tem opowiadał ś. p. Maryan Sokołowski, powstała niezrównana w wysazie jeremiaszowa głowa Skargi na obrazie Marejki, sama w sobie będąca jednem z najgenialniejtzych arcydzieł mistrza".

W taki to sposób powstają legendy, z opowieści ustnej spisane, bujną wyobraźnią uplastycznione, stają się podstawą wiary tłumu, który sobie nie umie zdać sprawy z tego, czy są prawdopodobne. Zanim obecnie traktowana legenda stanie się własnością wiary tłumu, rozpatrzmy ją przy świetle faktów nam znanych.

Stawimy pytanie: czy fizyczne właściwości osoby Bronisława Szwarcego nadawały się do odtworzenia postaci Skargi?

Bronisław Szwarce był wzrostu wysokiego, mierzył około 2 m. wysokości; wobec ludzi średniego wzrostu wydawał się olbrzymem w Tomsku, gdziem go po raz pierwszy spotkał w roku 1876, nazywali go moskale, mieszkańcy Tomska, „wielikij czornyj". Obok wysokiego wzrostu odznaczał się i odpowiednią siłą — nie bał się chodzić w nocy po ulicach miasta Tomska, bo złodzieje i zbója tchórzyli przed jego siłą, wszystkim znaną. W roku 1876 był pięknym mężczyzną, o twarzy z wyrazem energii i siły, ale bez najmniejszego śladu „ekstazy i askezy". W latach znowu, gdy bawił w Warszawie, opowiadano o nim, że był pięknym młodzieńcem, kobiety kochały się w nim, uznawały go za typ niezrównanej męskiej piękności; włosy miał czarne, pukliste, oczy czarne, wąsik niewielki zdobił twarz białą z rumieńcami; otóż taki młodzieniec, mogący służyć za model dla postaci Aleksandra Wielkiego, albo młodego Wielkiego Piotra — żadną miarą nie mógł służyć za model do głowy Piotra Skargi. P. Ferdynand Höesick utrzymuje, że Szwarce był wtedy już średniego wieku człowiekiem, miał twarz ascetyczną i włosy przyprószone siwizną. Jeszcze w roku 1878 Szwarce miał włosy bez śladu siwizny, zaś w latach gdy bawił w Warszawie był młodzieńcem kipiącym siłą i potęgą życia.

A teraz rozejrzymy się, jaką twarz wymalował Matejko? Otóż widzimy twarz fanatyka, jakim musiał być Skarga, jakim był Jeremiasz i inni fanatycy religijni żydowscy; gdyby Piotr Skarga był wychowany w wierze Mahometa, byłby tak zacięcie walczył z heretykami chrześcijanami, jak wal-

czył przeciwko heretykom wyznaniowym, Polakom; dla niego nie istnieli Polacy poza wyznaniem katolickiem, każdego Polaka wyznania protestanckiego, kalwińskiego uznawał za zbrodniarza — wszystkie jego proroctwa dotyczyły zemsty za idee tolerancyjne, one go oburzały i doprowadzały do wściekłości fanatyckiej; takiego wyrazu fanatyzmu szukać w twarzy młodzieńca Szwarcego — jest rzeczą wprost niemożebną!

Drugie pytanie: czy Szwarce był w Krakowie i tam pozował w pracowni Matejki? Otóż, od czasu wystąpienia Szwarcego na arenie działalności rewolucyjnej w Warszawie, aż do chwili jego ujęcia, nie oddalał się on z Warszawy, krył się skutecznie, wymykał się przed policyą; rozmaite sposoby jakich się chwytał, gdy go raz po raz osaczano w mieszkaniach, wytworzyły całą historyę, głoszącą o jego bohaterstwie, śmiałości, odwadze; zmykał z piętrowego domu, spuszczając się po rynnie, przebierał się przez ogrody, przesadzał przez mury etc. etc., ale ani razu nie salwował się tchórzliwą ucieczką za granicę. W swojej autobiografii nic nie mówi o Krakowie. Gdyśmy, bawiąc w Tomsku, opowiadali sobie wzajemnie o historyach własnych w czasie powstania i przed powstaniem — Szwarce ani słowem nie wspomniał o swojej rzekomej bytności w Krakowie, to też stanowczo zaprzeczam opowieści p. Ferdynanda Höesicka. Co do samej jego narracyi, to ona wyglądała tak, jak gdyby fejletonista jaki opisywał bitwę, nie służąc nigdy w wojsku i nie mając żadnego wyobrażenia o wojskowości.

Trzecie nareszcie pytanie, czy zyskałby Skarga Matejki coś na tem, gdybyśmy uwierzyli w legendę p. F. Höesicka, albo coby uzyskał Szwarce? Otóż i na to pytanie odpowiedzieć muszę przecząco.

SILVA RERUM.

POLSKA TROSKA O PATRYOTYZM ROSYJSKI FABRYKANTÓW. (r—s). Nacyonaliści rosyjscy srodze odgrażają się Stanom Zjednoczonym Am. Półn. z powodu wypowiedzenia traktatu handlowego i buńczucznie wyjeżdżają z hasłem wojny cłowej. Ale przemysłowcy rosyjscy, jako ludzie praktyczni, nic o tem słyszeć nie chcą; owszem, nacyolizm jest rzeczą dobrą i chwalebną, ale nie wtedy, gdy grozi ich kieszeni. A wojna cłowa z Ameryką ogromnie zaszkodziła by rosyjskiemu przemysłowi bawełnianemu, który znaczną część swego surowca stamtąd sprowadza. To też fabrykanci moskiewscy ostro potępiają lekkomyślną gadaninę pyszałkowatych obrońców „honoru państwowego" Rosyi. Ale — o dziwo! — znalazł się poseł polski, który uznał za stosowne ich mitygować, przekładać im, że honor państwowy, to rzecz tak ważna, iż nie można z lekkiem sercem przechodzić nad nim do porządku dziennego! Niezrównany ten przedstawiciel narodu polskiego w petersburskiej „Dumie" radził przemysłowcom moskiewskim, by wstrzymali się z uchwałą, by nie dawali pozoru, że interes kieszeni rozstrzyga o ich polityce międzynarodowej. Dzielnym tym mentorem, zasłużonym obrońcą patryotyzmu państwowego jest p. Władysław Żukowski, „adwokat przemysłu", jak to się nazywa w Galicyi, „chodataj po diełam", jak mówią w Rosyi, a mówiąc po prostu: faktor, wysługujący się wielkiemu kapitałowi polskiemu i rosyjskiemu.

Napisaliśmy wyżej: „o dziwo!" Naiwny ten wykrzyknik cofamy ze wstydem. Bo po tylu doświadczeniach, cokolwiek „Koło polsko-petersburskie" lub jego pojedyńczy członkowie zrobią — nic nie powinno nas dziwić. Od mężów, stojących na gruncie „państwowości rosyjskiej", wszystkiego można się spodziewać. Więc i tego, że będą uczyli patryotyzmu fabrykantów moskiewskich, że będą udzielali im wskazówek, jak należy interes kieszeni dbałością o „godność" wielkiej Rosyi uszlachetniać. Ci prostacy — kupcy moskiewscy — ordynarnie łapią się za kieszeń i wołają nacyonalistom: bijcie żydów — dobrze, bijcie polaków, finlandczyków, wszelkich inorodców — owszem, ale bawełny nam nie zabierajcie. Mówią tak, bo są u siebie w domu, bo wiedzą, że ich głos ma wpływ i znaczenie, bo mogą szczerze i bez osłonek bronić swoich interesów. Ale przychodzi taki Żukowski. który czuje, że jest zaledwie tolerowanym niewolnikiem, który umie się zdobyć tylko na marną chytrość niewolnika, który wkupić się pragnie do „państwowości" rosyjskiej gorliwością neofity i natrętnem mentorstwem w rzeczach „honoru" państwa rosyjskiego. I chytrek taki już organicznie niezdolny jest do rozumienia, że w ten sposób podsyca jedynie i rozzuchwala nacyonalizm rosyjski. A gdy go ten nacyonalizm kopnie, jak psa, to on podniesie się tylko z przyjemnym uśmiechem i rzeknie, że on właśnie — Żukowski czy tam inny Dymsza — kopany, lecz wierno poddany — najlepiej rozumie interes państwa rosyjskiego...

Z RAPTULARZA.

W WARSZAWIE urządzali czarnosecińcy obchód patryotyczny z okazyi przewiezienia relikwii jakiejś kijowskiej świętej. Z niewiadomych powodów przyszło do starcia z kubańcami, eskortującymi Skałłona. Jest wielu rannych po obu stronach.

PRZED DELEGACYAMI zdawali sprawę ze swego urzędowania ministrowie Aerenthal i Auffenberg. Exposé ich były pierwszorzędnym europejskim wypadkiem politycznym. Powszechne zdziwienie wywołał fakt, że obie mowy pozostawały ze sobą silnym rozdźwięku. Minister spraw zagranicznych przedstawiał sytuacyę zewnętrzną monarchii możliwie w jak najróżewszem świetle. Konflikty, które zagrażały w ubiegłym roku pokojowi europejskiemu wychodzą z ekposé jako niewinne dyskusye między mocarstwami. W przeciwienstwie do Aerenthala malował minister wojny sytuacyę możliwie czarno. Występował on całkiem wyraźnie jako tuba wojowniczego odłamu kamaryli i sądząc z jego mowy byłaby Austrya ze wszystkich stron otoczoną wrogami, dybiącymi na jej całość. Aby obalić układ zawarty przed rokiem między delegacyami a ministerstwem wojny, które w zamian za uchwalenie bardzo znacznych kredytów wojskowych zrzekło się przedkładania nowych ciężarów na przeciąg 5 lat, przedstawił minister stan armii jako wręcz rozpaczliwy i rzucił z siebie odpowiedzialność za ten stan na delegacye. Obraz był jednak za grubo przesadzony i chybił celu. Delegacya węgierska przyjęła Auffenberga nader zimno, a cała prasa monarchii z wyjątkiem pism chrześcijańsko-społecznych poddała jego exposé ostrej krytyce. W dyskusyi zmodyfikował też minister bardzo znacznie ocenę zarządzanej przez niego siły zbrojnej. Wobec jednak dotychczasowych tradycyi delegacyi zachodzi obawa, że ustąpi ona ostatecznie i wbrew zeszłorocznemu układowi zwali na społeczeństwo, mimo jego rozpaczliwego położenia finansowego, nowe ciężary wojskowe.

KRYTYKA miesięcznik poświęcony sprawom społecznym, nauce i sztuce. Rocznik XIV., styczeń 1912. Część pierwsza: (f) O roku ów; Wł. Studnicki: Konspiracyjna państwowość; Jan Jastrzębiec Hempel: Doświadczenia religijne. Nowa dziedzina badań; Junius: Współcześni politycy polscy. XXX. Wł. Tetmajer; Dr. R. Beres: Żydzi w życiu gospodarczem; Bol. Rozmuski: Saloniki czy Warszawa; Polemika. Prof. J. Baudouin de Courtenay i W. F.: O p. A. Niemojewskim słów kilka; Wł. St.: Dwa Koła Polskie; Sprawozdania; Bogusław Butrymowicz: Z kielichem w ręku. Pieśń; Dr. Maryan Szyjkowski: Młody Mickiewicz; W walce o światopogląd: Dr. A Wróblewski. Monizm przyrodniczy; Jan Topas: Hokusai i Utamaro; M. W. Walewska (hr. Wielopolska): Niewidome siostry; Salvador Rueda: Poemat grot. Przeł. z hiszpańskiego Julia Diksteinówna; Jan Kleczyński: Liciński. Charakterystyka; Przegląd: I. M. Skrudlik: Z wystaw krakowskich, II. Tad. Bezimienny: Ze sztuki i z życia, III. (x) „Pochód wawelski" Szymanowskiego własnością narodową; Sprawozdania: Sienkiewicz — Sieroszewski. Z literatur obcych; Dodatek artystyczny: Hokusai: Rysunki.

„ŻYCIE“ wychodzi w każdą sobotę po południu.

PRENUMERATA WYNOSI:

	rocznie	półrocz.	kwart.
w Galicyi i wszystkich miejscowościach Austro-Węgier . . .	20 kor.	10 kor.	5 kor.
Dla członków Polskiego Stronnictwa Postępowego	12 kor.	6 kor.	3 kor.
w Poznańskiem i wszystkich miejscowościach Niemiec	18 mk.	9 mk.	4·50 mk.
w Królestwie i wszystkich miejscowościach Cesarstwa. . . .	12 rb.	6 rb.	3 rb.
w innych miejscowościach Europy	24 fr.	12 fr.	6 fr.
w Ameryce	6 dol.	3 dol.	1·50 dol.

Cena pojedynczego numeru 40 h.

Przedpłatę przyjmuje administracya, księgarnie i kantory pism. Ogłoszenia wszelkiej treści za wiersz petitowy, lub jego miejsce 40 hal. Za dział ogłoszeń redakcya nie odpowiada.

Adres Redakcyi i Administracyi: ul. Sienkiewicza 9.

REDAKTOR PRZYJMUJE CODZIENNIE, Z WYJĄTKIEM ŚWIĄT i NIEDZIEL, OD GODZINY 6. DO 7. WIECZOREM

Nakładem Spółki wydawniczej.

Redaktor odpowiedzialny: Aleksander Nawrocki.

Kierownik pisma: STEFAN GACKI.

ODBITO W DRUKARNI „WIEKU NOWEGO“. LWÓW, KRZYWA 8. KLISZE WYKONANO W ZAKŁADZIE ART. “TĘCZA“.